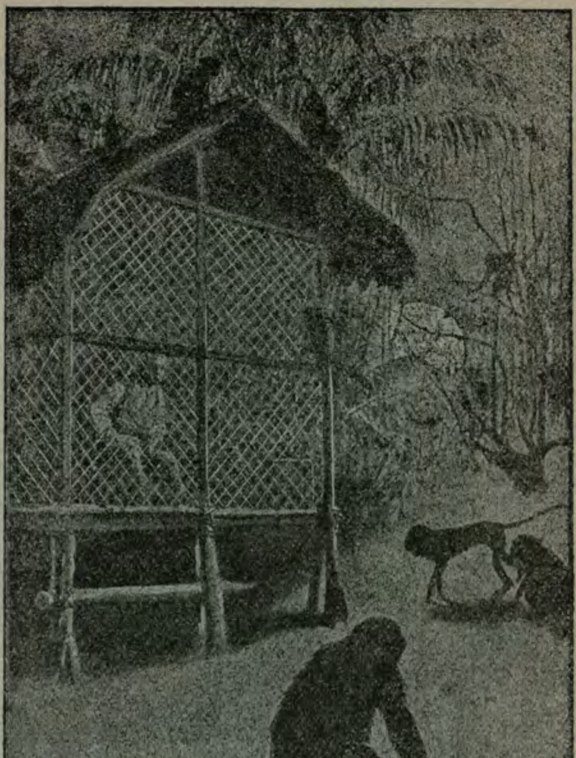
Pan redaktor Oleński.

Wydawca A. Persic.

Pan Redaktor Oleński.

(Ku upamiętnieniu 25-letniej działalności społecznej).



WARSZAWA

—

1908.

Pan redaktor Oleński

(ku upamiętnieniu 25-letniej działalności społecznej).

ROZDZIAŁ I.

Przyjaciele.

Pan Juljan Greher, znany optyk w Warszawie, siedział za kontuarem obarczonym rozmaitego rodzaju przyrządami z dziedziny optyki i chirurgji, gdy drzwi się otworzyły i na progu stanął pan Jan Oleński, redaktor *Skiby*. By to człowiek koło pięćdziesiątki — czerwony, barczysty, z twarzą, która, prócz pewnych łajdackich symptomatów, mówiła wyraźnie: Jest mi dobrze na świecie i cieszę się z tego.

Zobaczywszy siedzącego właściciela optycznego sklepu, nowoprzybyły wyciągnął rękę serdecznie.

— Jak się masz, Julciu.

Ten zerwał się z krzesła pośpiesznie, dążąc naprzeciw nieoczekiwanego, a jak widać było z wyrazu jego twarzy—miłego gościa.

— Dobry wieczór—zawołał swoim miękkim, niezdecydowanym głosem. Doprawdy, nie spodziewałem się twojej wizyty.

Oleński udał nieufność.

— Co, może nie jesteś zadowolony z mojego wejścia?—zawołał z szerokim gestem.

Optyk zaprzeczył żywo.

— Jak możesz przypuszczać coś podobnego—rzekł. Wiesz dobrze, jakie nas łączyły zawsze węzły przyjaźni.

Pan redaktor kiwnął głową.

— Tak właśnie przychodzę w tej sprawie.

— W sprawie naszej przyjaźni?

— Tak jest.

— Doprawdy, twoja uroczysta mina przestrasza mnie — zaśmiał się optyk.

— Od ciebie zależy — harmonja w dalszej znajomości naszej.

Greher spojrzał zdziwiony.

— Jak ty mówisz?

— Wyraźnie.

Pan redaktor wstał i przeszedł się po sklepie kilka razy, naraz stanął. Spojrzał zimno w czarne oczy optyka i zapytał.

— Dlaczego przestałeś prenumerować *Skibę*?

— Uważam ją za nieodpowiednią dla mnie. Zrobiłeś sobie nieszlachetny sport i zarobek w oczernianiu wszystkiego, co nie twojej narodowości. Ja nie mogę prenumerować pisma, które wyszydza moją narodowość i moje przekonania. Słuchaj, Janku, ciągnął dalej serdecznie. Przecież ty musisz wiedzieć, że nie masz słuszności. Ja jestem żydem— prawda—przyznaję się do tego, boć przecież śmiesznem i nikczemnem byłoby się zapierać. Ale czy sądzisz, że serce żydowskie jest inne od serca— nie żydowskiego?... Czy w naszych biednych sercach nie mogą się iskierki wzniosłych uczuć zapalić?!...

O, nie sądź tak!... Znamy się tak dawno i doprawdy nieraz myślałem, dlaczego na tak nieuczciwą poszedłeś drogę...

Pan redaktor Oleński patrzał na niego z poza przymrużonych powiek...

— Tak, tak... rzekł przeciągle... Więc nie będziesz prenumerować *Skiby*?

— Nie, Janku.

Zapanowało milczenie.

Naraz pan redaktor wstał z miną jakgdyby nie słyszał ani jednego słowa z wywodów Grehera.

— Masz co nowego?... zapytał od niechcenia.

— Jakto?

— Nie rozumiesz? Jesteś mało domyślny, mój Julciu.

— Aaa...

— Mam nową znajomość. Mówię ci kobieta cudowna. Nie pierwszej już młodości, ale uważasz jeszcze wcale, wcale.

Tu pan redaktor pokręcił szpakowatego wąsa.

— Mam zupełnie zapatrywania Balzaca—co do kobiet rozumiesz? Lubię takie, co to są w najwyższym rozkwicie swoich kobiecych wdzięków, a nawet, kiedy troszeczkę zaczyna przekwitać. Purpurowa róża, która chyli się do zielonej grządki rabatu.

— Ciągle jedno i to samo, uśmiechnął się Greher.

Oleński poklepał go po ramieniu.

— No, no, nieszczery moralisto. Twój sklep jest wrogiem ludzkości.

— Dlaczego?...

— Dzięki twoim „środkom ochronnym“ (tu pan redaktor mrugnął znacząco okiem) bardzo wiele istot ludzkich nie ujrzało wcale świata Bożego.

— Takie środki znajdziesz u każdego optyka, odparł swobodnie Greher. Nie jest to ani moja zasługa, ani wina. Muszę ci jednak powiedzieć, że cenniki, któreś mi przetłumaczył i uzupełnił, mają doskonały popyt...

Twarz Oleńskiego zmieniła się nagle. Powlokła ją ciężka chmura niezadowolenia.

— Właśnie chciałem ci powiedzieć, że...

— Że?...

— Że bardzo źle robisz, ogłaszając je w pismach...

— Dlaczego?...

Pan redaktor zżymnął się.

— A dlaczego, dlaczego? Dlatego, że to jest nieobywatelskie.

Optyk zaśmiał się.

— Zabawnie wyglądasz, mówiąc takie słowa. Wszakże ty sam ogłaszałeś mię przez lat kilka.

Powiedziawszy to, Greher położył przed panem Janem Oleńskim pudełeczko z „wrogami ludzkości“.

Ten zaś nie rozchmurzył swego oblicza. Przeciwnie stał się prawie ponurym.

— Powinieneś zrozumieć — rzekł ostro, że skoro ja przestałem zamieszczać w *Skibie* twoje ogłoszenia — to znaczy, że je zamieszczać nie wypada.

— Ale moj kochany—odparł z lekką irytacją pan Greher. Wszakże ty sam dałeś mi tekst do tych cenników.

— Tak, ale o tem nikt nie wie.

— Ja wiem i ty. A to dosyć, aby być obwinionym lub niewinnym wobec własnego sumienia.

Redaktor *Skiby* zaśmiał się ironicznie.

— Kochany panie! — Mówisz jak szesnastoletnia pensjonarka. Dzisiaj niema żadnego sumienia — jest pieniądz. Pieniądz ten wszechwładny pan życia. Ja powiedziałem (pamiętasz to doskonale zapewne), iż chcę robić pieniądze. I zrobiłem.

— Ale nie mijaj się z konsekwencją. Wyszydzasz i piętnujesz to, coś sam napisał.

— Napisałem za pieniądze. — A piętnuję...

— Dla idei?

— Tak.

Greher zaśmiał się drwiąco.

— Dla idei zebrania jaknajwięcej złota.

— A choćby—to i cóż. Wolno mi robić, co mi się podoba.

— O naturalnie.

Pan redaktor elastycznym ruchem schował do kieszonki kamizelki kilku „wrogów ludzkości“.

— Mam ci zapłacić za to? zapytał z widoczną chęcią niewyjmowania z kieszeni portmonetki.

— O to drobnostka—odparł optyk, chowając pudełko. Chciałbym cię jednak prosić o nie prowadzenie ze mną podobnych rozmów. Śmieszą mię i irytują. Jesteś do gruntu zły i fałszywy.

— Co mówisz?

— Tak—odparł, blednąc z irytacji optyk. Mam prawo tak powiedzieć.

Redaktor, czerwieniąc się jak róża, wyjąknął:

— Za... zabraniam... Nie wolno ci...

— Przepraszam — zawołał Greher donośnie. Czuję się w obowiązku powiedzieć ci, że twój fałsz już mię do gruntu przejmuje. Byłeś moim przyjacielem. Pracowałeś na kolei i wszystko było dobrze, ale chciałeś założyć sobie pismo i założyłeś *Skibę*, nikczemną szmatę, która żyje jedynie szczuciem jednych na drugich — karmisz się błotem i łzami krzywdy ludzkiej. O nie rób takiej obrażonej miny. Sam mi mówiłeś, że ci jedynie chodzi o pieniądze— a pieniądze można zrobić tam, gdzie grają najniższe namiętności ludzkie — gdzie razem z łzami i krzykiem bólu pada jęk niemocy. O zrobiłeś sobie sport... i dobry kawałek chleba— ze swojej *Skiby*, przeklętej szmaty, stokroć więcej parszywej, niż ci biedni żydzi, których bez wyjątku zwiesz... parszywymi...

Pan redaktor stał jak skamieniały, trzymając w ręce wyjętych przez zbytnie zdenerwowanie „wrogów ludzkości“.

— Jak pan śmiesz!... wymamrotał.

Optyk oparł się plecami o szafę— i patrzał mu prosto w oczy.

— Oto dlaczego przestałem prenumerować twoje zacne pismo — rzekł, kończąc swój wybuch.

Oleński patrzał na niego oczyma, w których błyskały złe, djabelskie ogniki nienawiści i zemsty.

— Czy wiesz, na co się narażasz? zapytał pobladły z irytacji.

— Wiem, wiem — odparł optyk, gorzko się uśmiechając. Udrapujesz się w togę „obywatelskich obowiązków“ i zaczniesz rzucać na mnie kalumnie... Zapomnisz o całej naszej bliskiej znajomości i przyjaźni i znów zaczniesz swoją odwieczną pieśń na antysemickiej lutni... O mogę ci jednak odpowiedzieć, że nie zdołasz mię zadziwić...

Mimo wszystko, znam cię doskonale i widzę twoją nikczemną, brudną duszę, która się karmi łzami pokrzywdzonych...

Redaktor ulicznej szmatki stał zdumiony. Znał on dobrze Grehera i nie przypuszczał, aby ten zdobył się na tak otwartą jasną prawdę.

— Czy sądzisz — zawołał — że cię kto bronić będzie? O bardzo się mylisz. Nikt nie uwierzy, abym to ja był autorem tych cenników, przeciw którym tak energicznie będę występował. Ludzie są za głupi na to, aby mogli przypuszczać coś podobnego, A nawet w tym wypadku, gdybyś znalazł obrońcę, możesz być pewnym, że ja go przekrzyczę... Moje pióro się nie zmęczy. Morze atramentu wyleję, gdy będzie potrzeba, a poznasz moją odpowiedź za te obraźliwe słowa, któreś mi tutaj rzucił.

— O i tak cię znam doskonale, odparł Greher. I zna cię cała Warszawa. Stary...

— Przestań... parszywy...

Optyk oburzył się.

— Proszę, daj mi spokój. Nie jestem ciekawy, co mi powiesz. Mo-

żesz wogóle u mnie nic nie kupować.

Redaktor wyglądał tak, jakgdyby chciał się rzucić na niego. W rękach ściskał „wrogów ludzkości.

— Ah! z rozkoszą rzuciłbym ci w oczy te twoje „środki“ — wykrztusił z wściekłością. Ale zanadto mi są one dzisiaj potrzebne. Poczekaj jednak (pogroził palcem) ja ci jeszcze pokażę. Popamiętasz ty Oleńskiego.

Optyk skłonił się.

— Proszę — racz pan o mnie nie zapominać. A tymczasem...

Wskazał drzwi ręką.

Czcigodny pan Oleński wyniósł się, sapiąc z wściekłości, jak miech kowalski. Na ulicy wsiadł w dorożkę i kazał się zawieźć do hotelu Savoy, gdzie wespół z synem Szymonkiem oczekiwała na niego nie tak moralna, jak piękna panna Maryla. Dama ta cieszyła się bardzo wybitnemi zaletami ciała, które skłoniły do niej zarówno samego pana redaktora Oleńskiego, jak i jego syna, który pracował w sklepiczku ojca z zupełnem zadowoleniem. Obiecujący ten młodzian miał tylko trzy namiętności (czysto ludzkie zresztą, a człowiek jest stworzeniem niedoskonałem). Lubił jeść, spać— i... z kobietkami się bawić! W chwilach, wolnych od tych zajęć, pisał artykuły, treści poważnej...

Po wyjściu redaktora pan Greher usiadł ciężko na krześle. Myślał o rozmowie prowadzonej przed chwilą. Zdawało mu się, że nagle rzucił kości w grze o stawkę poważną.

W tej chwili do sklepu weszła jego żona.

— Kto tu był?—spytała.

— Oleński.

— Po co?

— No, po co? Wiesz przecież, po co tu zawsze przychodzi.

Kobieta wykrzywiła usta.

— Niesmaczny jest ten redaktor *Skiby*.

Człowiek w tym wieku, żeby takie niemoralne życie prowadził.

Pan Greher wstał.

— Słuchaj, zaczął cicho, od dzisiaj to nasz nieprzyjaciel.

— Nieprzyjaciel?

— Tak. Możemy się spodziewać od niego wielkich przykrości.

— Dlaczego?

— Przestałem prenumerować *Skibę*.

— No bo przecież tego świństwa czytać nie było można.

— Przytem.

Pani Greher wzięła męża za ręce.

— Julek, przecież ty wiesz, jak cię kocham. Musisz mi powiedzieć wszystko.

— Pokazałem mu drzwi...

Pani Greher cofnęła się zdumiona.

— Ty, ty? taki delikatny, taki spokojny uczyniłeś taką straszną niegrzeczność?!

— Musiałem...

— Co on ci takiego uczynił?...

— Wierz mi, że nie mogłem uczynić inaczej...

Pani Greher westchnęła lekko.

— Bóg raczy wiedzieć, czy to nie jego łaska? Z takimi ludźmi, jak Oleński, lepiej się nie znać wcale...

— Mścić się będzie.

— Cóż ci może uczynić? Jesteś człowiekiem uczciwym. Każdy wie o tem.

— Ten nikczemnik całą sieć z kłamstw utkać potrafi.

— Kłamstwo nie pokona prawdy, mój Julku — rzekła, pobłażliwie się uśmiechając, pani Greher.

Optyk potarł nerwowo ręką swoje czoło.

— Może masz i słuszność—szepnął cicho.

— Napewno ją mam, mój kochany, szepnęła kobieta, całując swego męża.

Pan Greher miał jednak złe przeczucie.

ROZDZIAŁ II.

Stróże moralności.

— Powiedziałem ci, ośle jeden, że trzeba głośniej pukać. Nie dlatego mam słuch, aby go wytężać wtedy, gdy jest to zbyteczne.

— Kiedy proszę jaśnie...

— Niech cię jasny piorun trzaśnie.

— Ha! ha! ha! ha!

Salwa śmiechu rozdarła powietrze gabinetu...

— Młodzian z blond brodą zwrócił się do swej towarzyszki.

— Marie, jak można się tak śmiać nieelegancko. No wynoś się na cztery wiatry i na drugi raz, jak wejdziesz, pukając tak cicho, to cię tak puknę, że popamiętasz ruski miesiąc, dodał, zwracając się do kelnera.

Ten zgiął się we dwoje. Wymamrotał coś pod nosem i wyszedł.

Wtedy piękna Marie — zwana także Mańką — jednym susem znalazła się na kolanach elokwentnego młodzieńca.

— Szymonku jesteś nieoceniony, wyszeptała z kuszącym uśmiechem.

— Naprawdę?...

— Pocałuj mię.

— No, masz.

Pocałował ją.

— Jeszcze raz.

Pocałował.

— A napiszesz na tego łajdaka Markusfelda.

— Którego? tego co ci nie zapłacił... wtedy?

— Tak.

— A napiszę, napiszę!

— No, mój kochany. Powiedz, że to jest łajdak, szubrawiec, żyd... że raz... Co to raz?... Zaraz, że raz, jak jeszcze był młody...

— Nie bój się. Już ja będę wiedział, co napisać.

— Tak, ty masz takie świetne pióro...

— A będziesz do mnie częściej przychodziła?

— No jak często?

— Codzień.

— O codzień to nie można.

— Dlaczego?

Ładna kobietka przechyliła w tył główkę.

— Bo się zanadto...

— O, o, nie bój się. Ja jestem mocny. Nawet mego ojca, który słynie poprostu z tego, przetrzymam...

— O, nie chwal się tylko, mój kochany.

— Jak Boga kocham! Słowo honoru ci daję.

— Co dajesz?

— Słowo honoru.

— Co to takiego?

— Marie!...

Kokotka zaczęła fajtać nogami z uciechy.

— Szymonku mój kochany. Tak lubię, jak jesteś obrażony. Masz taką wtedy śmieszną minę.

— No, no bardzo proszę...

— Jeszcze śmieszniejszą, niż twój papa szanowny, gdy się do mnie zabiera.

Uważasz tak: Jest bardzo wtedy taki, taki jowialny. Dużo mówi, dowcipkuje. Aż naraz aus! Ma taką minę, jakgdyby się coś miało stać strasznego. No a potem...

— Wiemy, wiemy — zaśmiał się elegancko młody pan Oleński.

— To kiedy ty na niego napiszesz?

— No zobaczę. Za tydzień. Widzisz trzeba się do czegoś przyczepić. To jest doktór... No to napiszę... że. No wreszcie będę wiedział...

— Tak, tak. Ty jesteś bardzo sprytny do tego.

W tej chwili na progu gabinetu ukazał się p. Jan—jeszcze czerwony z gniewu.

— A ojciec... My tu czekamy na ojca — zawołał p. Szymon wyciągając rękę.

— Dzień dobry, dzień dobry. Oh! jak się zmęczyłem.

— No! a ze mną? Papuńciu,— zapytała kokotka kapryśnie.

— A dzień dobry, dzień dobry ci, moje dziecko — odparł z roztargnieniem red. Oleński.

— Nie pocałujesz mnie?...

— O, owszem, owszem. Wiesz przecież, jak cię kocham.

To mówiąc pocałował kokotkę w usta z głośnem mlaśnięciem. Ta wyprężyła mu się w ramionach.

— Jeszcze.

— Jesteś nienasycona.

— Kocham cię.

— Szymonku, odwróć się, moje dziecko, rzekł nagle Oleński, zamierzając jakiś niecny czyn wykonać z piękną Marie.

Blondyn jednak oparł się temu stanowczo.

— Nigdy w życiu, proszę ojca. Jeszcześmy nie jedli kolacji, a deseru nie jada się przed obiadem.

— Ah! tak prawda — potaknął z uznaniem red. *Skiby*. Boże, jaki ja jestem zdenerwowany. Wszystko się we mnie trzęsie.

-- A co się stało?

— Ach, nie masz pojęcia.

— No?

— Byłem u Grehera...

— Już wiem—zawołał p. Szymon. Pomimo zagrożenia skandalem nie chciał dać tych 200 rb.

— Ale nie to — jesteś kompletny osioł mój kochany.

— Ależ proszę ojca... A ty się nie śmiej—zawołał, zwracając się do kokotki, która umierała ze śmiechu.

— Widzisz, nie mogłem mu zaproponować tej pożyczki, bo mię tak przyjął, jak się przyjmuje psa w kręgielni—dodał po chwili stary Oleński.

— A łajdak!

— Szubrawiec! Szubrawiec ostatniego rzędu!

— Cóż on powiedział?

— Czego nie powiedział? *Skibę* nazwał szmatą. A nas karmiącymi się ludzką krzywdą.

— A żyd parszywy dopiero, no...

— A na zakończenie pokazał mi drzwi...

Pan Szymon zerwał się z krzesła.

Co? Drzwi pokazał? Śmiał to uczynić?!

— Ale nie krzycz, nie krzycz — wtrąciła z niezadowoleniem Marie. Ten czarny kelner będzie myślał, że się bijemy.

— Tak, tak, mów ciszej, potaknął jej stary Oleński.

— Trzeba coś uradzić.

— Potrzebny nam dobry artykuł.

— Niech ojciec pisze,

— Musimy razem napisać... I to teraz.

Kokotka zaprotestowała żywo.

— Przepraszam. Co to—granda?... Ja nie przyszłam na pisanie artykułów.

Stary Oleński podszedł do niej.

— Ależ moje dziecko — obowiązek obywatelski.

— Ale nie zawróć, papunciu — z obywatelami. Co mie tam obchodzi jakiś Greher. Obowiązek, obowiązek. Kolacja gdzie jest?

— Każ podawać — rzekł do syna z królewskim gestem Oleński.

Ten zadzwonił.

— Podawać — rzekł do kelnera z powagą miljardera.

— No dzisiaj kolacja będzie wyśmienita—dodał po chwili, mlasnąwszy językiem... Zamówiłem.

— Numer jutro rano trzeba dać do złożenia. Ostatni termin... przerwał Oleński, chodząc po gabinecie.

— A tak...

— Wiesz, nie mogę się uspokoić...

— Bardzo wierzę.

— Taka obraza i od kogo?

— Ale rzeczywiście.

— Ale ja mu dam.

— Co ojciec napisze?

— Już nie bój się. Przedewszyst-

kiem napiętnuję te cenniki... Ja mu pokażę, to...

— Ale, ale... Ma ojciec te... ten?

— To jest gangrena społeczeństwa — dokończył red. Oleński, wręczając synowi „wrogów ludzkości“... Pomyśl tylko... ten człowiek śmie w społeczeństwie polskiem rozpowszechniać te ohydne „środki ochronne“. I jeszcze pisze o tem... reklamuje...

Naraz pan Oleński klasnął w dłonie i krzyknął, jak ongi uczynił to Archimedes, odkrywszy wielkie prawo przyrody.

— Eureka!

— Co?

— Znalazłem.

— Co ojciec znalazł?

— Haczyk.

— Jaki haczyk?

— Haczyk, o który się można zaczepić. Zrobię z niego wroga polskiego narodu.

Pan Szymon uśmiechnął się.

— Daruj, ojcze! Wiem, że w tym kierunku jesteś niewyczerpany, genjalny, ale nie wyobrażam sobie, jak zrobisz z pana Grehera, zwykłego, skromnego optyka ze Szpitalnej ulicy wroga polskiego narodu.

— I chrześcijaństwa.

— E....

— Jak cię kocham.

— Doprawdy, zaciekawiasz mię, ojcze.

Pan Jan Oleński nic nie odparł tylko wyciągnął do syna tłustą czerwoną łapę.

— Podaj mi to, co ci przed chwilą dałem.

— Ii... te... te?... zapytał niezdecydowanym głosem syn swojego ojca, ze względu na bliską obecność płci pięknej.

— Tak.

Podał mu. Stary redaktor bez ceremonji pokazał synowi „wrogów ludzkości“ w całej ich bezwstydu okazałości.

— Co to jest?

— Fe, świnia — krzyknęła nagle piękna Marie, rzucając się ze śmiechem na otomanę.

Pan redaktor zwrócił się do niej z nadzwyczaj grzecznym uśmiechem.

— Przepraszam cię, moja duszko, ale to są sprawy naszego pisma — rzekł z uśmiechem.

— Więc — może mi odpowiesz na pytanie, mój synu?

— To zbyteczne. Obaj doskonale znamy te przyrządy — odparł młody człowiek niechętnie.

— A zatem powiedz mi, na czem polega siła narodu?

— Na dobrobycie, na...

— E nie... Nie, głupi jesteś!.. Siła polega na wielkości. Francuzi obecnie zmniejszają się w okropny sposób i zachodzi obawa, że z czasem znikną zupełnie z naszej planety. Podczas gdy niemcy wzrastają. A wiesz dlaczego? Oto dlatego...

— E nudny jesteś. Mógłbyś już iść spać, stary atramenciarzu—przerwała kokotka, zakładając nogę na nogę.

Pan redaktor zrobił strapioną minę.

— Ależ Marie! Ty się nie znasz na tem. My jako dziennikarze należymy do społeczeństwa. Stoimy, że tak powiem, na jego straży... To, co teraz mówię, jest pro publico bono.

— Ale kiedy ja nie przyszłam na odczyt, rozumiesz? Ja przyszłam na kolację... Szymonek, chodź tu, rzekła nagle, klepiąc dłonią kanapę koło siebie.

— Ale widzisz, że rozmawiam o rzeczach poważnych—wymawiał się młody dziennikarz.

Kokotka powtórzyła rozkaz.

— Chodź tu, bo jak Bozię kocham zrobię skandal. Co wy sobie myślicie? Ja nie taka głupia. Ja chcę kolacji i ten... Wyście mię na całą noc... tego. A nie to walaj 25 rb.

— Ale nie tak gorąco, nie tak gorąco—mitygował stary Oleński, krzywiąc się niemiłosiernie. Racz być

trochę cierpliwą— bo istotnie mamy do pomówienia o sprawie poważnej, społecznej.

Marie westchnęła leciuchno.

— No dobrze, gadajcie, tylko nie długo.

— Zato potem sobie powetujemy, odgrażał się Szymon, a jego oczy, rzucające iskry, świadczyły aż nadto dobrze, że nie jest to tylko czcza pogróżka.

Po chwili usiadł przy niej na kanapie i jednocześnie zrobił wrażenie człowieka bez lewej ręki. Zagłębił ją hen, w tajemniczych czeluściach damskiej garderoby.

Tymczasem czcigodny jego ojciec z ołówkiem w dłoni bazgrał coś na papierze.

— No i cóż, powie mi ojciec nareszcie, dlaczego pan Greher jest wrogiem polskiego narodu?

— Kiedy Szymonku strasznie się ciężko orjentujesz. Oto dlatego, że sprzedawane przez niego środki — wpływają ujemnie na przyrost ludności. No co, rozumiesz teraz nareszcie.

— Aha!

— Aha. Musiałem ci, jak łopatą w głowę włożyć.

— No dobrze — rzekł, robiąc migdałowe spojrzenie w kierunku swojej towarzyszki— ale przecież to nic nadzwyczajnego. To samo sprzedaje każda apteka, każdy optyk. Aparaty nie zabronione przez urząd lekarski. Cóż mu ojciec może zrobić?

Pan Oleński chwycił się za głowę.

— Ah, mój Boże, jakiś ty głupi, jakiś ty głupi.

— Dlaczego?

— Bo cóż to wszystko nas może obchodzić. Ja piętnuję to, co przynosi społeczeństwu i polskiemu narodowi szkodę... a więc... Oj, przestańcie wy się całować. Doprawdy, że to nie wypada tak przy starszym człowieku.

— O mój papuńciu — tylko nie wyjeżdżaj z morałami.

— No cóż dalej?—spytał Szymon przytulając Marie mocno do siebie.

— Dalej napiszę przeciw wszystkim pismom, które zamieszczają jego bezecne ogłoszenia... Bo to ohyda! Jakie zgorszenie!—O, masz, napisałem początek artykułu. Słuchaj:

— „Pióro cięży ołowiem, atrament czepia się stalówki niechętnie i skąpo, papier co chwila zadziera się i plami“...

— Co to będzie — powieść? zapytała kokotka, poprawiając się na kanapie.

— Nie, artykuł...

— A więc słuchajcie:

„Nikczemna świnia“...

— Nie, nie. Niech ojciec nie pisze nikczemna świnia, to trochę za ostro. Świnia! Poprostu—świnia!

— Albo żydowska hara... Co?

— Nie, lepiej będzie... świnia.

— Albo nie—rzekł nagle Oleński, zacznę od czego innego:

— Naprzykład.

— „Powracam do tematu ohydnych ogłoszeń żydowskiego optyka, polecającego ilustrowane cenniki różnych przyrządów gumowych, tudzież ilustrowany „poradnik naukowy“ dla małżonków. Tu w pierwszym rzędzie zwracamy się do Szan. Duchowieństwa, apelując jak najgoręcej do Jego tak chlubnie znanego poczucia obowiązku.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze, zawołał Szymon. Trzeba klechom trochę podkadzić.

— Następnie, mój kochany, mam zamiar napisać.

— Hańba i wstyd pani Hortensji Lewentalowej i prezesowi Koła Polskiego w Dumie Państwowej!

Pan Szymon spojrzał na ojca, jak na warjata.

— Dlaczego Lewentalowej?

— Poczekaj, zaraz się dowiesz.

— Bo ta zacna (jak dotąd myślałem) kobieta nie oponuje jednak przeciw zamieszczaniu w jej piśmie ogłoszeń roznoszących zarazę najgorszego gatunku.

Tu pan Szymon przerwał.

— Przepraszam ojca, przecież one te... te gumowe, to właśnie przeciwnie.

— Ale ja o moralnej zarazie mówię. O Boże mój kochany!

— A to przepraszam. Jeżeli ojciec o moralnej zarazie mówi, to przepraszam.

— Pan Roman Dmowski zaś, który, dzięki niecnej agitacji swoich pachołków, między ostatniemi zbirami angażowanych, został posłem z naszego miasta, nie raczył dać listownej odpowiedzi czcigodnemu ks. Kajetanowi Kramarskiemu ze Stryjkowa, który, nie bacząc na swoje 78 lat własnoręcznie go w tej sprawie interpelował. Biada naszemu narodowi! Pan Dmowski, Greher, Lewentalowa — zawiązali niecną, ohydną współkę w celu prowadzenia występnego handlu rozpustą. My jednak jesteśmy silni moralnie.

— Weź rękę—rzekła nagle Marie do Szymonka.

— My jednak jesteśmy silni. Wstyd i hańba redaktorom pism polskich, przyjmujących obrzydłe ogłoszenia żyda-optyka. Ale jeszcze nie wszyscyśmy tak nisko upadli.

— Weź rękę—mówię ci.

— No, nie, Szymon—proszę uważaj. Doprawdy, że jesteś niegrzeczny, rzekł Oleński z wyrzutem. Zaraz skończę, wtedy się wszyscy zabawimy.

— No to już kończ, stary, do wszystkich djabłów — zawołała z wyraźną niecierpliwością piękna Marie. Nudny jesteś jak flaki z olejem...

— I dlatego takiemi sprosnościami zawsze się będziemy brzydzić i piętnować aż do skutku, dokończył redaktor.

— No i co?

— Wspaniały. Greher się wścieknie.

— Ma za moje.

— No a teraz zabawa! — zawołała kobietka z enfazą.

Oleński przyskoczył do niej.

— Daj całusa.

— Masz stary grzybie.

— Jeszcze raz...

— Masz. A kupisz mi okrycie?

— Kupię.

— A gorset?

— Kupię.

— A pończoszki te, wiesz które?

— No pończochy to przecież miał ci kupić Szymon.

— Ty jesteś bogatszy od niego.

— No, ale to nie będzie sprawiedliwie. Ja wszystko, a on nic?

— O, mógłby się ojciec nie targować, wtrącił młody Oleński.

Marie potwierdziła.

— Naturalnie. Wreszcie on jest młody a ty, papuńciu, staruszek, okropny staruszek.

Oleński się oburzył.

— Co? Jak możesz tak mówić. Czy możesz z czystem sumieniem powiedzieć, że fuszeruję w tem... co tego... ten?

— No nie, tego nie mówię.

— No więc nie gadaj głupstw, moja kochana. Bardzo cię proszę. Kompromitujesz mnie w oczach syna.

— Ale niech się ojciec nie przejmuje. Ja przecież wiem, że ojciec jest bardzo mocny w tej... sprawie.

Stary Oleński udobruchał się.

Pogłaskał kapryśną kokotkę i kazał podawać potrawy. Wkrótce potem ukazały się wina i likiery a jeszcze potem nastąpiły sytuacje, wobec których „pióro cięży ołowiem, atrament czepia się stalówki niechętnie i skąpo—a papier co chwila zadziera się i plami“. Dosyć, gdy powiem, że „wrogowie ludzkości“ byli w swoim żywiole. To daje wyraziste pojęcie,

jak stróże moralności przepędzali czas w gabinecie...

ROZDZIAŁ III.

Potrzeba jest matką wynalazków.

W Alei Ujazdowskiej słońce rzucało cienie na betonowe chodniki od smutnych drzew, melancholijnie patrzących w niebo. Był jeden z nielicznych dni Marca, w których tak wyraźnie przesuwa się jakaś nieuchwytna mgła wiosennych zapowiedzi. Jest w tym zapachu coś z fiołków, a zarazem niby aksamitny oddech śpiącej odaliski...

Na jednej z ławek siedział pan Szymon Oleński i laską gryzmolił coś na piasku.

Czekał na Marie. Miał jej coś ciekawego do powiedzenia, jak skreślił powód schadzki w małym liściku, posłanym jej przez posłańca wczoraj. Do mieszkania pięknej kokotki iść nie chciał, ponieważ wiadomem mu było, że często przesiadywał u niej pewien pan, który nic lepszego nie miał do roboty. Myślał więc.

Ale myśli pana Szymona nie były wesołe.

A powód?

Czyż można nie wiedzieć? Jakaż na świecie sprawa jest w możności wysokie czoło—ładnego blondyna w stylu pana Oleńskiego zasnuć chmurą głębokiej zadumy, jeśli nie sprawa pieniężna. Brak ukochanej mamony, tak potrzebnej tym, którzy szczęście w trzech wyżej określonych przyjemnościach widzą: jedzenie, spanie i kobietka—to szalony impuls do wydawania złota— a chociaż stary p. Oleński nie mógł się uskarżać na fortunę, wszakże jego zacny syn nie posiadał w dostatecznym stopniu napchanego pugilaresu.

Potrzeba jest jednak matką wynalazków. Pan Szymon zaś miał rozum, a właściwie spryt... (rozumem zaś Szymonek nie grzeszył, można jednak na osłodę powiedzieć, że serce miał złote). Spryt mu doradził pewien „interes“, który przy pomocy pięknej Marie postanowił obrobić. Ucieszył się więc niepomiernie, gdy na końcu Alei zauważył nareszcie jej cudaczny kapelusz, strojny w pióra niby żołnierz armji króla Emanuela.

— A jesteś nareszcie, rzekł, udając obrażonego. Myślałem, że już nie przyjdziesz.

— I niewiele brakowało do tego, mój złoty.

— Jakto?

— Piszesz, jak do swojej sługi. Przyjdź — czekam i t. d. Cóż ty myślisz, że ja nie mam żadnych obowiązków?

— Obowiązków? Sądziłem że jesteś kokotką— rzekł z gryzącą ironją syn redaktora — a okazuje się, że mam do czynienia z poważną matroną, której dzieci liczne i krzykliwe nie pozwalają udać się na randkę z przyjacielem, który ma ważny interes.

Powiedziawszy te ironiczne słowa, pan Szymon zaśmiał się drwiąco.

Kokietkę to obraziło.

— Przedewszystkiem proszę nie śmiej się tak brzydko. A potem może powiesz, o co ci chodzi.

— No, ale czego się irytujesz.

— Słucham, proszę mów prędko, bo nie mam czasu.

Pan Szczepan wziął ją za rękę i posadził koło siebie na ławce.

— Tylko się nie gniewaj. Potrzebuję dzisiaj przyjaciela.

— O, widzę z tego, że nie masz pieniędzy.

— Zgadłaś, moja duszko.

— Nie trudno, mój aniołku.

— Może się domyślasz, czego takiego?

— Nie.

— O, jak widzę, jeszcze jesteś naindyczona.

Pan Oleński spojrzał na nią czule.

— Marie, doprawdy nie wypada, abyś się na mnie gniewała. Wszakże mnie jednego właściwie kochasz.

— Inaczej napewno byś mię tu nie oglądał.

— A zatem postępuj lepiej, jak kobieta kochająca i...

I co?...

— I rozchmurz swe cudne oblicze.

— A potem?

— A potem słuchaj uważnie — uczyń to, o co cię poproszę.

— Słucham.

— Marie, jestem bez pieniędzy

— To dla mnie nie nowina.

— Jeżeli nie będę jutro miał 200 rubli, jestem zgubiony.

Kokotka uśmiechnęła się.

— Cóż dalej?

— Dalej? Dalej wymyśliłem sposób ich zdobycia.

— Ciekawam jaki.

Pan Szymon chrząknął i obejrzał się.

— Widzisz tak. Ojciec mój to znany kutwa...

— O, wiem o tem aż nadto dobrze, przerwała z goryczą Marie. Myślisz, że mi kupił to okrycie?...

— Wiem, że nie, ale nie o to chodzi. Jak ci wiadomo (byłaś przecież przy pisaniu artykułu) ojciec pokłócił się z Greherem optykiem, wiesz którym?

— Wiem.

— I będzie teraz go obrabiał co się zmieści. Zatem dobrzeby było, gdybyś ty tak od siebie niby poszła do niego i rzekła:

— „Panie Greher—jeżeli pan dasz tak bez rozgłosu 200 rb. Szymonowi Oleńskiemu, to ten wpłynie na ojca, że artykułów przeciw tobie w *Skibie* nie będzie. W razie przeciwnym jesteś zgubiony. Stary i młody Oleński co tydzień będą zamieszczać artykuły przeciw tobie, i nie tylko artykuły, ale wszędzie gdzie się da. Na tej szpalcie i na tamtej W feljetonie, w wiadomościach bieżących, nawet w odpowiedziach. Całe numery *Skiby* będą przepełnione wycieczkami przeciw tobie i twojej działalności. No co dobrze?

Kokotka zawahała się.

— Widzisz, to przecież jest takie świństwo... że.

— Ale, moja kochana. Ani ja, ani mój ojciec na żadne świństwa nie zwracamy uwagi. Trzeba mieć odwagę. Gdyby nie ta odwaga, moje dziecko, mój ojciec byłby dzisiaj biednym urzędnikiem na kolei, a tak jest człowiekiem zamożnym.

— Nie, ja do Grehera nie pójdę.

— Dlaczego?

— Nie chcę do tego przykładać ręki.

— Ale, moja Marie, co za śmieszne skrupuły.

— Nazywaj to, jak chcesz, a ja nie pójdę.

— Nie pójdziesz?

— Nie.

— Nie chcesz mnie, swemu przyjacielowi, takiej drobnej przysługi wyrządzić?... zawołał z bólem w głosie zacny młodzieniec. O Marie, jak Boga kocham, nie spodziewałem się tego po tobie.

— Ale mój kochany...

— Przestań, przestań. Jesteś bez serca. Ty wiesz, jak ja stoję. Jutro mam płacić weksel...

Kokotka skrzywiła się.

— Ja nie mogę.

Purpura oblała twarz pana Szymona. Wstał i rzekł poważnie.

— Dobrze, ale klnę się na Boga, że jednego słowa nie napiszę przeciw temu Markusfeldowi.

Przeciwnie — cały artykuł kropnę, że to bardzo zacny człowiek.

Marie zerwała się.

— Ty tego nie uczynisz.

— Uczynię właśnie.

— Nie poważysz się.

— Ty tak, to ja tak. Nie pójdziesz do Grehera, nie wydostaniesz 200 rubli — Markusfeld człowiek zacny i czysty jak kryształ. Pójdziesz i przyniesiesz—Markusfeld łotr. Skończone. Wybieraj!

— Szymon, ty jesteś bez serca.

— Wybieraj...

Kobieta zawahała się. Widząc jednak nieubłagany wzrok redaktorskiego syna, rzekła po chwili.

— Dobrze. Ale pamiętaj... że to ostatni raz.

— Doskonale. Jesteś prawdziwą przyjaciółką.

— Ale ty dobrze przeciw Markusfeldowi napiszesz?

— O nie obawiaj się — zawołał z entuzjazmem pan Szymon. Ja już pióra nie pożałuję. Trzy stalówki złamię na papierze, a musi być ostro i wyraźnie.

— No dobrze. To kiedy ci przyniość?

— O jak najprędzej, skarbie. Moja kieszeń pusta, jak serce hetery.

— Ty zawsze masz głupie porównania.

— No do widzenia.

— Do widzenia.

— Pa!

Pan Szymon pożegnał się z kokotką, bo miał ważny interes w redakcji, ona zaś udała się w stronę ulicy Szpitalnej, gdzie się znajdował sklep pana Grehera. Nie uszła jednak kilkunastu kroków, gdy usłyszała głos.

— Dzień dobry pani.

Odwróciła się i drgnęła.

Przed nią stał dr. Markusfeld uśmiechnięty i przyjemny.

— Dokąd pani tak dąży?

Kokotka zrobiła obrażoną minę.

— Panu, zaiste dziwię się bardzo. I poszła dalej krokiem Marji Stuart, idącej na szafot...

— Marie, bez głupich komedji — zawołał mężczyzna ostro. Chcę wyjaśnić kwestję.

— Co pan chce wyjaśnić?

— Zostawiłem cię wówczas u Jackowskiego, nie zapłaciwszy rachunku. Ale to było przez roztargnienie. Musiałem wyjść na ulicę, a tu zostałem prawie gwałtem wpakowany do dorożki i zawieziony do chorego. Na drugi dzień musiałem wyjechać na cały tydzień. Cały szereg zupełnie nieprzewidzianych przypadków. Nie każesz mi chyba za nie pokutować.

— Bynajmniej.

— A więc robię ci propozycję. Wyjeżdżam dzisiaj do Włoch na 2 miesiące. Chcesz jechać ze mną?

Kokotka spojrzała zdziwiona.

— Serjo pytasz pan?

— Najzupełniej, bardzo cię lubię, zabawimy się porządnie.

— A więc dobrze.

Marie wyciągnęła rękę.

— Jesteś pan bardzo dobry.

— Cieszy mię twoje uznanie — rzekł doktór z leciuchną ironją. Czy możesz się zaraz do mnie udać?

— Nie. Mam jeszcze kilka interesów do załatwienia.

— A zatem czekam na ciebie dzisiaj o 6-ej wieczorem. Pociąg odjeżdża o 12-ej.

— Zrobione.

— Do widzenia.

Doktór odszedł. Marie zaś ogromnie uszczęśliwiona, pobiegła do najbliższego sklepu i poprosiła o możność telefonowania, ponieważ obecnie nie miała najmniejszego zamiaru spełnić życzenia swego quasi-kochanka, którym się mienił Szczepan.

ROZDZIAŁ IV.

Rozmowa przez telefon.

— Proszę pani Nr. 144-80.

Dziękuję. Czy redakcja *Skiby?*

— *Tak.*

— Proszę poprosić pana Szymona Oleńskiego.

— *Jestem przy telefonie.*

— A dzień dobry. Słuchaj, nie pisz już nic o Markusfeldzie. Przekonałam się, że to bardzo porządny człowiek.

— *Czy być może? Prędko zmieniasz zdanie!*

— Tak jak potrzeba. Następnie...

— *A cóż Greher, byłaś u niego? Możesz mówić śmiało. Jestem sam w gabinecie, bo ojciec poszedł do restauracji na wódkę.*

— Ah ten Greher, ten Greher.

— *Co takiego?*

— Spotkałam go przed chwilą na ulicy. Naturalnie powiedziałam wszystko, jak mi kazałeś.

— *A on co?*

— A on wyobraź sobie, powiedział, że jesteś skończonym szubrawcem i że większych łajdaków od ciebie i twego ojca, niema w całej Warszawie.

— *No, no a 200 rubli?*

— Powiedział, że jak zwarjuje, to da, ale teraz—powiada — ma jeszcze zdrowe zmysły.

— *A szelma!*

— Następnie kazał ci powiedzieć, abyś go unikał, bo gdy cię spotka, to cię spoliczkuje i wogóle będzie źle.

— *Drwię sobie z jego gadania. Dzięki Bogu, na każdym rogu jest stójkowy.*

— Tak. Więc nie udał się twój pomysł. Co do mnie wcale mi się on nie podobał... No do widzenia. Nie zobaczymy się prędko.

— *Dlaczego?*

— Wyjeżdżam.

— *Ty wyjeżdżasz. Dokąd?*

— Do Włoch.

— *Zkim — sama?*

— Z Markusfeldem.

— *Zwarjowałaś?...*

— Proszę się nie zapominać.

— *Ale bo, moja kochana.*

— Dr. Markusfeld jest poczciwy zacny człowiek. A ja zrobiłam głupstwo, że go zdradzałam, z takim starym grzybem, jak twój ojciec...

— *A ja? Bój się Boga! Czy i mnie nie żałujesz...*

— Owszem. Ale teraz adieu.

— *Marie, Marie!*

— Czego chcesz?

— *Nie opuszczaj mię.*

— O, mój kochany, bez tragedji. Doktór będzie lepszym, niż ty... chociaż...

— *Marie, na honor mój przysięgam.*

— Adieu...

— *Marie, jesteś niedobrą dziewczyną, nie umiesz ocenić serca. Ja z sercem szedłem do ciebie.*

— Nie zawracaj kontramary.

— *Jeżeli mię rzucisz — suchej nitki nie zostawimy na tym twoim Markusfeldzie.*

— Gwiżdżę na was.

— *Napiszę, że mu się nie udała operacja...*

— To pisz, jak nie umiesz czego innego.

— *Pożałujesz.*

— Gwiżdżę.

— *Powiem całej Warszawie, że ten twój żyd zebrał majątek na handlu żywym towarem, a obecnie trudni się...*

— Pisz, co ci się podoba, ja pluję na was...

— *Marie, nie bądź tak okrutną.*

— Byłam za dobrą dla was. Wy powinniście już dawno siedzieć w kryminale.

— *Dlaczego? Marie dlaczego?*

— Za wasze oszczerstwa.

— *Ja cię kocham. Kocham nad życie!*

— Każ się wypchać.

— *O mój Boże, Marie.*

— Trocinami. Adieu.

— *Marie.*

— Osioł— dokończyła kokotka zamykając telefon.

ROZDZIAŁ V.

Pan Greher i jego sędzia.

Kiedy pan Greher w tydzień po powyższej rozmowie kupił numer *Skiby* i przeczytał—stanął oniemiały. Taki ohydny strumień pomyj wylał na niego red. Oleński w swojej szmatce, iż temu zdawało się to czemś zupełnie niezrozumiałem.

Kłamstwo, kłamstwo ohydne, zupełnie wyssane z palca, a jak zawsze podlane sosem brudnej rasowej nienawiści. Optyk rozgoryczony poszedł do domu i pokazał dziennik żonie.

— Patrz tylko, co ten nasmarował.

— Co już jest?

— Przeczytaj. Gdzie się tylko dało, nawet w odpowiedziach redakcji.

Pani Greher uśmiechnęła się smutnie.

— Tak to przecież nic nowego. Mogłeś się tego od Oleńskiego spodziewać.

— Ale ja tego nie mogę puścić płazem, oburzał się Greher. Ten łajdak napisał, że ja handluję pornograficznemi fotografjami. Ja go do kryminału wpakuję... Albo tu: mówi, uważasz, niby jakiś ksiądz: „Gdybym nie miał pod ręką tej brzydoty, którą odebrałem jednemu z nieletnich, nigdybym nie uwierzył, że coś podobnego w społeczeństwie polskiem tolerowanem albo jeszcze gorzej kupowanem być może. Do jakiegoż upodlenia doprowadzają żydzi nieszczęśliwych polaków, którzy wiarę w Boga i sąd po śmierci utracili“.

— No? i cóż ty na to.

— Istotnie, to rzecz niezwykła w swojej potwornej brzydocie. Co za kłamstwo!

— Same kłamstwa i nic więcej.

— Ale ja mu dam.

Pan Greher zaczął się żywo ubierać.

— Dokąd idziesz?

— Do niego.

— Po co?

— Jakto, ty się jeszcze pytasz?

— Musi odwołać to, co napisał.

— Próżny trud, mój Julku, on tego nigdy nie uczyni.

— Zmuszę go.

— Czem?

— Sądem honorowym, albo karnym.

— O, bardzo wątpię, czy się zgodzi na jakąkolwiek styczność z honorem, zaśmiała się pani Greher.

— Zobaczymy.

Powiedziawszy to pan Greher, wyszedł i kazał się wieźć do redakcji *Skiby*.

— Czy jest pan redaktor Oleński?

— Jest, odparł jakiś obdartus, sprawujący urząd i lokaja i woźnego redakcji.

— To proszę poprosić. Chciałbym się z nim widzieć.

Pan Greher wszedł do pokoju, w którym przy biurku siedział pan Jan, pisząc coś na długich paskach papieru.

— Proszę pana.

Ten zerwał się.

— A pan!

— Tak ja, zawołał z irytacją pan Greher. Przyszedłem żądać od pana wyjaśnienia.

— Wyjaśnienia? Jakiego wyjaśnienia?

— Nie udawaj pan, proszę. Zamieścił pan artykuł, ubliżający mojej czci. Gdzieś pan widział u mnie pornograficzne fotografje?

— Ja — fotografje... Istotnie nie widziałem, ale...

— Co ale — jakie ale? Pan postąpiłeś, jak ostatni szubrawiec.

— Nie zapominaj się pan.

— Tak. Mam prawo to powiedzieć. Nie wahałeś się pan rzucić na mnie najpotworniejszych kalumnji, a jedynie dlatego, że nie chciałem prenumerować pańskiej *Skiby*... zawołał z oburzeniem Greher. To jest podłe!

— Robię to, co uważam za stosowne...

— Nikczemny człowieku.

— Panie Greher.

— Nie wart pan jesteś spoliczkowania nawet.

— Ha, ha, ha, ha, zaśmiał się red. Oleński drwiąco, nic mię nie obchodzą pańskie wymysły. Odpowiem ci na drugi tydzień w *Skibie*.

— Odpowiadaj, odpowiadaj i tak na ciebie nikt już najmniejszej nie zwróci uwagi. Jesteś pan bezczelnym. Piętnujesz pisma zamieszczające moje ogłoszenia o cennikach, któreś mi sam przetłumaczył, a jednocześnie sam w swojej parszywej *Skibie* ogłaszasz takie same Bruga? Podły człowieku—za grosz byś własną duszę sprzedał, stróżu moralności—rozpowszechniający jednocześnie zarazę najgorszą, bo zarazę nienawiści rasowej. Ja ci nie chcę dawać nauk, panie Oleński. Twoja ciasna głowa zbyt mało posiada możności pojmowania tego, co jest sprawiedliwe. Muszę ci tylko powiedzieć, że twoja głupota—nie mniejsza jest od twojej podłości. Bóg kazał kochać swoich bliźnich. Jestem żydem i wiem, że niema religji, którąby kazała nienawidzieć. A ty chowający się pod płaszczam swojego wyznania umiesz tylko szczuć i nienawidzieć. Nikczemny, brudny człowieku, jakże szkodliwem jest twoje istnienie na ziemi...

— Proroku — zaśmiał się blady z irytacji pan Oleński.

— Dałbym ci w twarz, gdyby mi nie żal było ręki, że ją splugawię—zawołał pan Greher i wyszedł...

W bramie przystanął. Był tak wzburzony, iż trząsł się jak w febrze. Takiej zimnej wyrafinowanej podłości nie spodziewał się nawet od Oleńskiego, który przecież słynął w całej Warszawie, ze swojej brudnej działalności.

— Szubrawiec—syczał przez zęby optyk.

Po chwili skierował swoje kroki ku bramie.

Nagle do ściany przytuliła się jakaś wysmukła postać. Greher spojrzał zdziwiony i poznał Szymonka. Młodzieniec był blady jak płótno. Drżał ze strachu i robił wrażenie człowieka, który nie jadł i nie pił przez cały tydzień...

— Panie...

Optyk podszedł do niego.

— I pana również chciałem spotkać. Godny następco swojego ojca. Powinienem ci kości połamać...

Młody Oleński patrzał na niego z obrzydliwym strachem.

— Panie, panie Greher... Ja doprawdy nie jestem nic winien—wyjąknął nareszcie, szczękając ze strachu zębami.

Optyk spojrzał z pogardą.

— Tfu! — splunął ze wstrętem. Nawet śliny dla was szkoda i poszedł.

Pan Szczepan puścił się pędem do redakcji. Wpadł bardzo zmieszany.

— Co ci się stało? — spytał ojciec troskliwie.

Młodzieniec wyjąknął.

— Greher na mnie napadł. Ledwo uciekłem. Boże, jakże się przestraszyłem..,

Jan Oleński podał mu pasek papieru.

— Pisz artykuł. Papier się nie męczy. Tylko ostro. Nie miej żadnych skrupułów... Tylko odwaga daje powodzenie.

Młody, obiecujący działacz społeczny umaczał pióro i zaczął pisać:

Walka z ohydą.

„Parokrotnie już zwracaliśmy na tem miejscu uwagę na występność zamieszczania przez pisma ohydnych ogłoszeń pewnej firmy żydowskiej i t. d., i t. d.

Papier jednak jest cierpliwym. Biedny ten męczennik nie jest w możności zaprotestować i powiedzieć tym, którzy go do niecnych wzywają czynów:

— Podli... Każda łza ludzka jest kamieniem, dla którego wagi niema określenia. A wy, co handlujecie ludzkiemi namiętnościami, i w sercach biednych nieszczęsnych ludzi zarzewie nienawiści wzniecacie — winniście pamiętać, że krzywda zawsze jest pomszczoną...

Niestety. Papier milczy, bo milczeć musi, a ludzie nie chcą mówić do pana Oleńskiego, który nie godny jest jednej myśli i jednego słowa.

Niech żyje nadal... w pogardzie tych, którzy coś więcej mają na celu, niż budowanie fortuny z cegieł— oblanych łzami pokrzywdzonych...

KONIEC.

Wydawca **A. PERSIC Chmielna 17.**

WARSZAWA, 1907. — DRUK P. AMBROZIEWICZA. WARECKA № 5.